

WOJCIECH PSZONIAK (1942-2020)

Solista

Był aktorem nie tylko w teatrze. **Każde spotkanie z Wojciechem Pszoniakiem było jego aktorskim popisem**

TEKST JACEK TOMCZUK ZDJĘCIE MAREK SZCZEPAŃSKI

Wszystko, co robił, robił z pasją, obojętnie, czy było to granie, gotowanie, latanie szybowcem, czy wybieranie ubrania. – Kiedyś założył na spacer po mieście bardzo szerokie spodnie, kiedy szliśmy, wszyscy się za nim oglądali. Widać było, że sprawia mu to przyjemność, że wywołał jakieś poruszenie – opowiada Andrzej Dudziński, malarz, rysownik, przyjaciel aktora od lat 70. – Bo u niego nie było nic przypadkowego – ani co włożył na siebie, czytał, podawał na kolację czy jak się poruszał. Wszystko musiał mieć pod kontrolą.

Kojarzony był z rolami poważnymi, tragicznymi: Korczaka, Robespierre'a, Raskolnikowa... Ale marzył, żeby zagrać w komedii, w której publiczność spadałaby z foteli ze śmiechu. Zresztą taką komedię wystawiał często swoim przyjaciołom na spotkaniach. Był mistrzem opowiadania dowcipów. Chciał też zostać klaunem, widział w tym swój los, między śmiechem a łzami.

– Niewielu znało prawdziwego Wojtka – mówi Dudziński.

– To był genialny, wielki aktor, ale kruchy facet – przyznaje aktor Wojciech Malajkat.

GOTOWANIE JAKO SPEKTAKL

KILKA LAT TEMU PODCZAS AUTORYZACJI WYWIADU z Wojciechem Pszoniakiem nieostrożnie zapytałem, co lubi w swoim zawodzie. Oburzył się, obraził i zażądał niemal przeprosin. Aktorstwo nie było dla niego zawodem, ale istotą jego

życia, świętem, podporządkował mu wszystko.

– Jako aktor miał w sobie żar, pasję, namiętność. Kiedy wchodził na scenę, nie można było oderwać od niego wzroku. Ale miał w sobie też coś z wampira, który wysysa z innych energię i ich usypia, by samemu brylować – mówił Jan Nowicki o koledze ze Starego Teatru, w którym Pszoniak zaczął.

Michał Komar, pisarz i przyjaciel Pszoniaka, twierdzi, że nie był łatwym partnerem na scenie. Widział go kiedyś z Piotrem Fronczewskim w „Kolacji na cztery ręce”. Prywatnie panowie byli przyjaciółmi, ale w teatrze w pewnym momencie się nienawidzili. Trwała rywalizacja na śmierć i życie, bo Pszoniak chciał dominować na scenie.

– On był aktorem od stóp do głów, w 100 procentach nie tylko w teatrze – mówi Adam Zagajewski, poeta, przyjaciel aktora. – Prawie każde spotkanie z nim wyzwalalo jego aktorską naturę.

Lata 90., Paryż, kolacja urodzinowa Stefana Mellera i Jerzego Giedroycia. Goście namawiają Pszoniaka, by zagrał Papkina. Pszoniak kryguje się, odmawia. Wstaje Władysław Bartoszewski i recytuje: „Papkin, po francusku ubrany, przy szpadzie, krótkie spodnie, buty okrągłe do pół łydki, tupet i harcopf, kapelusz stosowany – pod pachą para pistoletów...”. Pszoniaka jakby trafił szlag. Ledwo się powstrzymywał, by nie przerwać Bartoszewskiemu. No bo jak to? Ktoś wszedł w jego rolę?

Uwielbiał być w centrum zainteresowania, przyjmować gości, wydawać ko-

” *Był solistą absolutnym, niezdolnym do kompromisów, ustępstw*

ADAM ZAGAJEWSKI, POETA, PRZYJACIEL AKTORA



lacje. Ale nie zapraszał przyjaciół na gotowe już danie, w czasie przygotowywania posiłku jednocześnie coś kroił, opowiadał, rozśmieszał.

– Dlatego czasami jedno danie od drugiego dzieliło półtorej godziny. Ale nikomu to nie przeszkadzało – śmieje się Zagajewski. – Wojtek lubił mieć publiczność, kolacja, spotkania z przyjaciółmi były występami, a jak brakowało większej publiczności, to zostawała Basia. Była dla niego wspanią, rozumiejącą żoną, jego muzą i siatką bezpieczeństwa. Zawsze pogodną.

Czy kiedyś nie grał? – Bywały momenty, kiedy dopadał go jakiś rodzaj depresji i widać było, że w tym się męczy, że to nie on prawdziwy – wspomina Zagajewski.

14 LAT I DO WOJSKA

– **ŻEBY ZROZUMIEĆ**, KIM BYŁ, trzeba wiedzieć, z jakiego wyszedł świata. Jego życie było prześląknięte tęsknotą za miłością, akceptacją, nadzieją na lepsze życie – mówi Michał Komar.

Kiedy Wojtek ma 13 lat, jego ojciec popełnia samobójstwo. „W domu bieda, matka bezradna, nigdy wcześniej nie pracowała. Przez ocenę z zachowania nie przyjęli mnie do liceum, to był cios poniżający – mówił Komarowi w wywiadzie rzece „Aktor”. – Takiego stanu już nigdy potem nie przeżyłem. Położyłem się na torach przy dworcu w Gliwicach, ale pociąg przejechał po torach obok. No to chciałem się powiesić na słupie – spłoszył mnie kolejarz”. – Takich rzeczy się nie zapomina, te kopniaki od losu go ukształtowały – dodaje Komar.

– To był dla moich rodziców łobuz podwórkowy, mama powtarzała, że z Wojtka nic dobrego nie wyrośnie – wspomina Adam Zagajewski, który mieszkał w tej samej kamienicy w Gliwicach. – Wojtek w jakiejś desperacji wstąpił do szkoły wojskowej w wieku 14 lat. Grał w orkiestrze. Teraz wydaje mi się to nieludzkie, by takie dziecko posłać do wojska.

Wytrzymał w wojsku dwa lata.

Nie ukrywał, że pustkę po ojcu próbował wypełnić, szukając artystycznych autorytetów. – Ojciec tłumaczy dziecku świat, prowadzi za rękę, a ja ojca nie miałem – powie po latach.

Pierwszym ojcem duchowym został Tadeusz Różewicz, który namówił młodego Pszoniaka do myślenia o szkole aktorskiej. Potem szukał oparcia w Konradzie Swinarskim, Zygmuncie Hübnerze, Andrzejku Wajdzie.

POSTAWIĆ SIĘ WAJDZIE

PRZEZ LATA BYŁ ULUBIONYM AKTOREM ANDRZEJA WAJDY. Wystąpił w „Biesach”, „Piłacie i innych”, „Weselu”, „Smudze cienia”, „Ziemi obiecanej”, „Dantonie”, „Korczaku”. – Wajda miał talent do czerpania pomysłów od współpracowników i Wojtek mu to zapewniał. To aktor nieustannie poszukujący, pełen energii, do końca niezadowolony ze swej roli. Dla reżysera taki aktor to prezent – mówi reżyserka Agnieszka Holland.

Pszoniak potrafił jednak postawić się nawet swemu mistrzowi. Pracując nad „Ziemią obiecaną”, powiedział: jeżeli jego Moryc Welt będzie podpalał fabrykę Boro-wieckiego, to reżyser może szukać innego aktora. Kilka lat po 1968 r. bał się powielania antysemickich stereotypów.

W końcu zaczął się dusić w Krakowie, narzekał, że to miasto nie ma oddechu. Przeniósł się do Warszawy. W Teatrze Powszechnym znalazł się w gwiazdorskim zespole: Kazimierz Kaczor, Ewa Dałkowska, Franciszek Pieczka, Bronisław Pawlik... Tam nawet wielcy musieli czasami zagrać epizod. Ale po dwóch sezonach okazało się, że Pszoniak małych ról nie gra. Same główne.

W 1977 r. dostaje kolejną taką rolę, tym razem w „Locie nad kukułczym gniazdem”. Podczas prób zaproszony do współpracy wybitny psychiatra Kazimierz Jankowski proponuje psychodramę, która ma pomóc w zbudowaniu napięcia między aktorami. Pszoniak gra aktora, który odniósł sukces i wprasza się na imprezę do starych współpracowników. Zaczyna zachowywać się agresywnie, prowokować kolegów, przechwalać się, jaką to zrobił karierę w Hollywood. Dochodzi do tego, że aktorzy wychodzą z ról i zaczyna się prawdziwa awantura. – Kochany Olo Łukaszewicz gonił mnie po korytarzach z morderczym grymasem na twarzy. Poczuję lęk. Psychodrama wydobyła na światło dzienne to, co było ukryte – wspominał po latach.

Po awanturze wyciąga z szuflady list, w którym reżyser Claude Régy proponuje mu rolę w Paryżu. Pszoniak nie zna po francusku ani słowa, ale ma tak dość Warszawy, że podejmuje grę. Znajomy nagrywa mu tekst roli na magnetofon. Pszoniak powtarza i uczy się do skutku.

– Jaką musiał mieć w sobie determinację, by nie znając ani słowa po francusku, wyjechać z Polski i grać w tym języku w Paryżu – zastanawia się Michał Komar. – Jak niedobrze się tutaj musiał czuć. Wybrał wyrwanie się w świat. Grał tam podwójną rolę: aktora w spektaklu, ale też Polaka, który zna francuski.

Newsweek POLECA



O tych, których pożegnaliśmy w tym roku, czytaj także w „Newsweeku Ludzie”

MONSIEUR SONIAK

NA POCZĄTKU PRÓB UDAWAŁ CHOREGO, zdobył zaświadczenie lekarskie, że musi oszczędzać głos, może wypowiadać tylko swoje kwestie, żadnych dodatkowych rozmów. – Wszyscy szybko się zorientowali, że nie mówi ani słowa po francusku, ale jak na premierze wyszedł na scenę, był najlepszy z nas – mówi Daniel Olbrychski, który występował w tym samym spektaklu.

Ludzie przychodzili do garderoby porozmawiać z aktorami, pogratulować. Pszoniak wymyślił, że będzie odpowiadać wyuczonymi kwestiami z roli, co wszyscy uznali za niezły żart.

Na stałe został we Francji w 1982 r. po filmie „Danton”, w którym grał u boku

największej wówczas gwiazdy kina francuskiego Gérarda Depardieu. To zrobiło z niego gwiazdę. Ludzie nie potrafili wymówić jego nazwiska, uśmiechali się i mówili: „O, Robespierre!”.

Z czasem nauczył się mówić dobrze po francusku, bez tego nie mógł brylować towarzysko. A to byłoby dla niego największą karą. Z żoną Barbarą prowadzili dom otwarty, bywali u nich Kazimierz Brandys, Wajdowie, Czesław Miłosz, Adam Zagajewski, Konstanty Jeleński, Agnieszka Holland.

– Obaj pamiętaliśmy nasz układ z Gliwic, ja, wtedy syn profesora politechniki, stałem wyżej w niepisanej społecznej hierarchii – wspomina Zagajewski. – A teraz to on był sławnym aktorem, a ja mało znanym polskim poetą we Francji. Wojtek odgrywał sytuację pod tytułem: a teraz pokażę ci, kim jestem w Paryżu. Bawiliśmy się tym, to nie było całkiem serio.

Razem poszli kupić komputer dla Pszoniaka do sklepu na bulwarze Saint-Germain.

– Monsieur Soniak – przywitał go sprzedawca.

– Był szczęśliwy, bo to świadczyło o jego wielkiej popularności. Grał sporo w filmach, choć wydaje się, że głównie Żydów z Europy Wschodniej.

– Nigdy nie nauczył się mówić biegle w obcym języku, co dałoby mu pewność grania – mówi Agnieszka Holland. – Gdyby to przełamał, poszybowałby dużo dalej.

PARYŻ JAK HARPUN

PO 1989 R. DZIELIŁ ŻYCIE między Warszawę i Paryż. Od prawie 10 lat nie był związany z żadnym teatrem. Grał mało, głównie swój monodram „Belfer”.

– Był solistą absolutnym, niezdolnym do kompromisów, ustępstw. Niechętnie stosował się do reżyserskich pouczeń, chociaż nigdy nie przestał podziwiać Konrada Swinarskiego – mówi Zagajewski. – Brak zespołu dawał mu wolność, ale miał też swoje złe strony. Aktor błyszczy na tle zespołu, który daje mu też siłę, napęd. Jak to się odrzuci, to zostaje teatr jednego aktora. Wojtek był wspaniały w monodramach, np. w „Belfrze”, ale nie jestem pewien, czy czuł się w nich spełniony. „Król Lear” to jednak coś innego.

Brakowało mu grania, czuł się niedoceniony. Michał Komar napisał specjalnie dla niego nowy monodram o historii Polski ostatnich 100 lat. Pszoniak miał już w głowie plan dekoracji, opracowane zmiany kostiumów, wgryzał się w tekst. Pracował mimo choroby.

W 2019 r. w wywiadzie dla „Newsweeka” mówił, że najszczęśliwszy czuje się w Paryżu. – To była chyba obrona Wojtka, rodzaj dystansowania się od Warszawy, ale też może żal, że tutaj nie mógł kontynuować kariery na miarę swoich możliwości – mówi Zagajewski. – To była trochę gra, że mu na Polsce nie zależy, a przecież pamiętam, jak kiedyś rozmawialiśmy o jakimś rankingu najlepszych aktorów, w którym Wojtka zabrakło i bolało go to autentycznie. To ciągle mówienie o Paryżu było harpunem, który wbijał w Polskę, żeby o nim nie zapomniano.

Ostatnio coraz rzadziej bywał w Paryżu, ale lubił to poczucie przynależności do

wielkiego świata. Że może tam wrócić jak do siebie, pójść na kolację do dobrej restauracji, spotkać się z francuskimi znajomymi.

ACHILLES I HEJT

NIE LUBIŁ WSPÓŁCZESNEGO ŚWIATA, JEGO POŚPIECHU, pogoni za pieniądzem, kultury masowej. Tęsknił za czasami, w których sztuka wysoka miała prestiż. Nie oglądał telewizji, uważał, że ogłupia.

Ale miał wyraźne poglądy polityczne i nie ukrywał się z nimi. W zeszłym roku wystąpił w niefortunnej akcji „Nie świruj, idź na wybory”, która miała zachęcać do udziału w październikowym głosowaniu. Aktor robiący przed kamerą dziwne miny i ruszający rękoma w nieskoordynowany sposób został oskarżony o stygmatyzowanie chorych psychicznie. „Zagrał najgorszą rolę w karierze” – pisały media dotychczas przychylnie aktorowi. Prawicowe portale i rządowa telewizja urządziły nagonkę, a z internetu wylał się hejt.

– Wojtek żył w świecie sztuki, znajomych aktorów, pisarzy, reżyserów, inteligencji – mówi Wojciech Malajkat. – Pierwszy raz w życiu dopadł go tak wściekły hejt. Nie mógł znieść, że przypisuje mu się intencje drwienia z chorych. To był człowiek z innej epoki, w której takich rzeczy się nie robiło. Do tego czuł się przez lata uwielbiany przez publiczność. Do teraz. Dla mnie to historia niczym z mitologii. Potężnego tytana Achillea zabiło ranienie strzałą w piętę. Wydaje się to niemożliwe, a jednak. Wielkiego, genialnego aktora zabiły wpisy w internecie. Radziłem mu, żeby nie czytał, co o nim piszą, żeby się odciął. Oczywiście robił dobrą minę do złej gry, ale niedługo po tej akcji miał zawał, a potem dopadł go rak.

– Wojtek był typem wojownika, tak też podszedł do choroby. Długo się nie poddawał, właściwie do końca – mówi Andrzej Dudziński. **N**

jacek.tomczuk@newsweek.pl